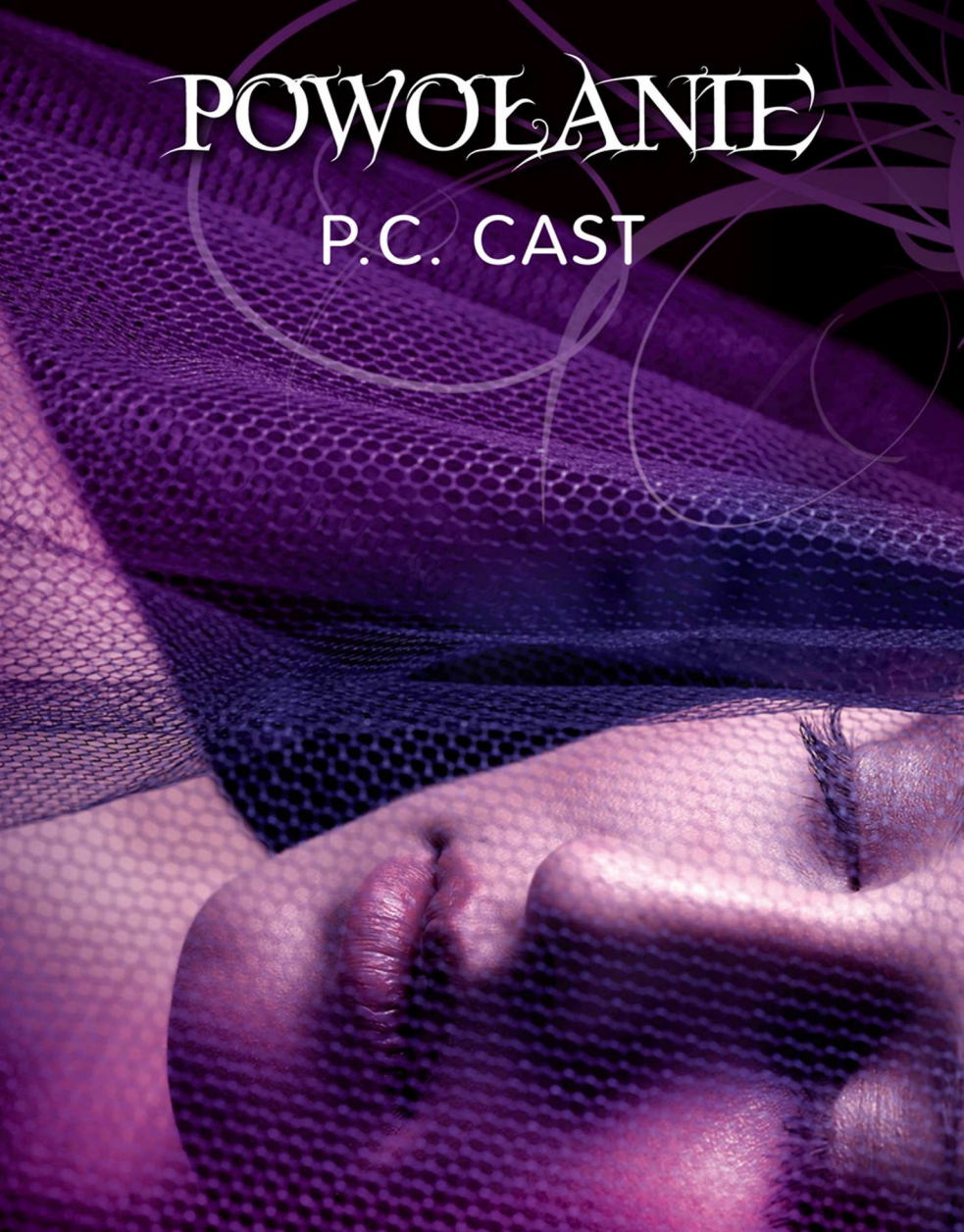


NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

POWOŁANIE

P.C. CAST



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Czytelnia Online](#).

POWOŁANIE

P.C. CAST

Przełożył: Jan Piekarczyk



Tytuł oryginału:
Brighid's Quest

Pierwsze wydanie:
LUNA Books S.A., 2008

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne:
Krystyna Barchańska-Wardęcka

Korekta:
Ewa Popławska, Krystyna Barchańska-Wardęcka

© 2005 by P.C. Cast

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin
Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

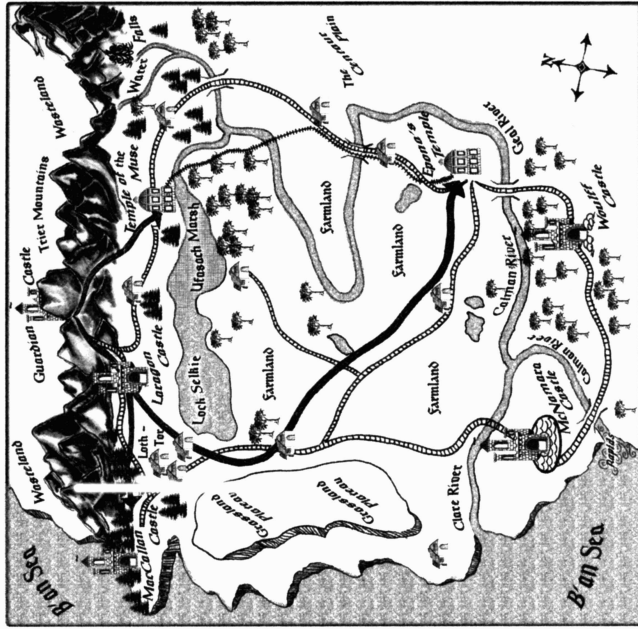
Wydanie niniejsze zostało opublikowane
w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych
– żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeX[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8203-9



PARTHOLON

Bridge
(Most)



Castle
(Zamek)



Conifers
(Drzewa iglaste)

Escape Route
(Droga Ucieczki)



Forest
(Las)



Invasion Route
(Droga Najazdzców)



Marsh
(Bagna)



Rivers & Sea
(Rzeki i Morza)



Temple
(Świątynia)



Village
(Wioska)



PROLOG

Krew umierającej Bogini ocali lud twój...

Ponad sto lat temu w Partholonie, krainie bogatej i zielonej, kobiety zaczęły przepadać bez wieści. Sporadyczne zniknięcia sprawiały początkowo wrażenie przypadkowych. Nikt się nawet nie domyślał, jak straszna się za tym kryła prawda, dopóki wrogie hordy nie zaatakowały Zamku MacCallana, nie wyrznęły jego walecznych wojowników i nie porwały w niewolę ich kobiet. Fomorianie, bo tak się nazywała ta rasa skrzydlatych demonów, wykorzystywali owe kobiety do wyhodowania jeszcze innej rasy potworów. Dla krwiożerczych niczym wampiry bestii najmniejszego znaczenia nie miał fakt, że zniewolone matki, wydając na świat zmutowane płody, umierały jak zużyte inkubatory. Makabryczny, koszmar-ny koniec.

Gniew Bogini Epony był straszny. To dzięki jej Wybrance, a zarazem Wcieleniu Bogini, Rhiannon, oraz jej partnerowi, centaurovi ClanFintan, lud ziemi Partholon zjednoczył się i pokonał Fomorian. Rasa demonów została rozgromiona. Ludność Partholonu nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, że wojna pozostawiła za sobą nie tylko

śmierć i zło. Na pustkowiach Wastelands, z dala od serca Partholonu, te kobiety, które cudem przeżyły poród, urodziły skrzydlate dzieci. Niewielka grupa owych hybryd, pół demonów, pół ludzi, zmierzała do wywalczenia sobie życia poza pustkowiem Wastelands. Rатовali swoje człowieczeństwo, lecz płacili za to wysoką cenę, bo gdy nie reagowali na zew ponurej krwi ich ojców, cierpieli tak straszliwie, że dopiero szaleństwo dawało im chwile wytchnienia w bólu... bólu, powoli niszczącym ich wolę.

Krew umierającej Bogini ocali lud twój.

Epona nie zapomniała o kobietach, które nie straciły nadziei i wiernie trwały przy swojej Bogini, mimo że nie mogły powrócić do Partholonu razem ze swoimi skrzydlatymi dziećmi. Przepowiednia Wielkiej Bogini, obietnica ocalenia, której szeptu ciągle słuchały, tchnęła w tę rasę półdemonów nowe nadzieje.

Powoli mijał wiek, skrzydłaci ludzie czekali na wysłuchanie ich modłów. Partholon odbudował się, rozkwitał, a wojna z Fomorianami powoli nikła w mrokach historii.

Narodziło się wtedy dziecko, pół człowiek, pół centaur. Naznaczone wszechmocną ręką Epony, dziecię płci żeńskiej otrzymało imię Elphame. Elphame wzywała we snach Lochlana, przywódcę skrzydlatych półdemonów, który czekał w Wastelands. Kiedy dziecię dorosło i osiągnęło wiek dojrzały, Lochlan posłuchał wezwania ze snów i udał się do Zamku MacCallana, gdzie Elphame poruszyła coś więcej niż kamienie starożytnych zamkowych ruin.

Krew umierającej Bogini ocali lud twój.

Z miłości do Lochlana i ufając swojej Bogini, Elphame wypełniła Przepowiednię. Poświęciła część własnego człowieczeństwa, a także serce swojego brata, aby urato-

wać rasę hybrydowych Fomorian. Teraz ów nowy rodzaj istot wraca w końcu do domu.

Jednak walka znowu się zaczyna.

Trzeba wszak pamiętać, że niełatwo jest podążać ścieżką Bogini Ephony...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Elphame była dokładnie tam, gdzie Łowczyni się jej spodziewała. Aby wytropić Przywódczynię Klanu Mac-Callanów, Brighid wcale nie musiała korzystać ze swych zdolności kobiety centaury. Dobrze już był znany zwyczaj Elphame, która lubiła odwiedzać pewne skały klifowe. Siadywała na największym z obryzgiwanych falami głazów i spoglądała na północ, w kierunku Gór Trier, których poszczerbiona, purpurowa linia szczytów wznosiła się nad horyzontem. Wpatrywała się weń, próbując dostrzec kryjące się za nim pustkowie Wastelands.

Brighid podeszła cicho do Elphame. Nie chciała jej niepokoić. Choć przebywała w jej pobliżu i pracowała z nią już nawet dłużej niż dwa pełne cykle księżyca, widok tej wyjątkowej istoty, która została jej przyjaciółką i Przywódczynią Klanu, nadal ją poruszał.

Urodzona jako najstarsza córka Etain – Wcielenia Bogini Partholonu – i Midhira, Szamana centaury, który został życiowym partnerem Etain, Elphame przypominała człowieka tylko od pasa w górę; obie jej nogi były bardziej końskie niż ludzkie, potężnie umięśnione, pokryte wspaniale lśniąca sierścią, zakończone hebanowymi kopytami.

Wyróżniała się nie tylko fizycznie. Epona wyposażyla Elphame w niezwykłą umiejętność nawiązywania więzi z Królestwem Duchów. Dzięki powinowactwu z Magią Ziemi, Elphame umiała wsłuchać się w mowę kamieni z Zamku MacCallana. Łączyła ją też szczególna więź z Eponą. Gdy zaś Elphame wznosiła poranne modły lub dziękowała Bogini pod koniec szczególnie udanego dnia, Brighid, często wyczuwała obecność opiekuńczej Bogini Partholonu. A kiedy Elphame prosiła Boginię o miłość i siłę, aby pokonać szaleństwo Fomorian – wszyscy byli świadkami przychylności Epony.

Brighid wzdrygnęła się. Nie chciała przypominać sobie tamtego dnia. Wystarczyło jej wiedzieć, że Przywódczyni Klanu jest niezwykłą mieszaniną centaury i człowieka, bogini i istoty śmiertelnej.

– Jak tam polowanie, udało się? – spytała Elphame, nie oglądając się za siebie i nie patrząc na Łowczynię.

– Owszem. – Brighid nie była zaskoczona tym, że Przywódczyni Klanu wyczuła jej obecność. Elphame miała niezwykle wyostrzone nadnaturalne zdolności. – Od ponad stu lat w lesie otaczającym Zamek MacCallana nie odławiano prawidłowo zwierzyny. Nie boi się, podchodzi pod łuk, jakby błagając o odstrzał.

Elphame uśmiechnęła się znacząco.

– Nasze sarny, chcąc trafić do naszych garnków, chętnie popełniają samobójstwo. Czy to poprawia ich smak?

Brighid parsknęła.

– Ale nie mów o tym Wynne. Kucharka zaczęłaby marudzić, żebym staranniej wybierała zdobycz, bo jej chodzi o aromat potraw i takie tam.

Przywódczyni Klanu MacCallanów odwróciła wzrok od odległych gór i uśmiechnęła się.

– Twoim sekretem nic u mnie nie grozi.

Brighid spojrzała Elphame w oczy. Uderzył ją ich

smutek. Uśmiech gościł tylko na jej ustach. Przywódczyni Klanu nie zwykła pokazywać publicznie tak zniepokanej twarzy. Podobna z nią zażyłość należała do rzadkich przywilejów. Przez chwilę Brighid obawiała się, że budziło się w niej szaleństwo Fomorian, przyczajone głęboko we krwi przyjaciółki, ale szybko się uspokoiła. Brighid nie dostrzegła w oczach przyjaciółki ani nienawiści, ani złości. Widziała w nich tylko głęboki smutek, choć miała pewne wątpliwości, co do jego przyczyny. Elphame została szczęśliwie skojarzona z Lochlanem. Odbudowa Zamku MacCallana postępowała. Klan prosperował. Przywódczyni powinna być zadowolona. I Brighid wiedziała, że byłoby tak, gdyby nie jeden szczegół.

– Martwisz się o brata. – Brighid studiowała mocny profil Elphame, gdy ta wpatrywała się w horyzont.

– Oczywiście, że się o niego martwię! – Elphame zacisnęła usta. Kiedy w końcu się odezwała, głos miała smutny i zrezygnowany. – Przepraszam. Nie zamierzałam o tym mówić, ale martwię się o niego od śmierci Brenny. Bardzo ją kochał.

– Wszyscy kochaliśmy małą Uzdrowicielkę – powiedziała Brighid.

Elphame westchnęła.

– Była naprawdę niezwykła. Miała wielkie serce.

– Boisz się, że Cuchulainn po tej stracie nie dojdzie do siebie?

Elphame wpatrywała się w odległe góry.

– Byłoby lepiej, gdyby był tu z nami. Mogłabym z nim porozmawiać, pytać go, jak się czuje. – Pokręciła głową. – Ale nie mogłam go zatrzymać. Tutaj wszystko przypominało mu Brennę. Ciągłe powtarzał, że już nigdy nie nauczy się bez niej żyć. Kiedy wyruszał, wyglądał jak własny duch. A raczej – zastanowiła się – nie jak własny

duch, ale jak własny cień... – Elphame mówiła coraz ciszej, w końcu zamilkła, coraz bardziej niespokojna o brata.

Brighid pozostała przy niej i sama pograżyła się we wspomnieniach o Brennie, małej Uzdrowicielce, która, podobnie jak Brighid, przybyła do Zamku MacCallana w poszukiwaniu nowego życia. Z oszpeconą przez ogień połową twarzy mała Uzdrowicielka chciała zacząć tu nowe życie i nie zawiodła się. Udało się jej znaleźć tu pracę i przyjaciół. Znalazła także coś jeszcze – miłość w ramionach Cuchulainna, brata Elphame, wojownika, który pod strasznymi bliznami po oparzeniach potrafił dostrzec piękno jej serca. Brenna aż do chwili swojej przedwczesnej śmierci tak promieniowała szczęściem, że nie sposób było tego zapomnieć. Jej śmierć zaś dała początek całej serii wydarzeń. Miały one doprowadzić do ocalenia dziwnych, skrzydlatych ludzi, którzy nic nie zrobili, by złagodzić ból, jaki sprawiła mu jej śmierć. Teraz Cuchulainn udał się na pustkowie Wastelands, aby sprowadzić z powrotem do Partholonu tych właśnie ludzi, którzy przyczynili się do zamordowania jego ukochanej.

– Nalegał, żeby tak zrobić – powiedziała Elphame cicho, jakby czując, o czym myślała Brighid. – Za śmierć Brenny wcale nie winił wszystkich Fomorian. Zamordowała ją jedna z ich kobiet, ale zdawał sobie sprawę z tego, że zrobiła to pod wpływem szaleństwa, które Fomorian dotykało, z czym usiłowali walczyć.

Brighid przytaknęła.

– Cuchulainn winił wyłącznie siebie. Być może sprowadzenie do domu nowych Fomorian, jak te hybrydy wolą się nazywać, położy kres nieszczęściom. Według Lochlana, w większości to jeszcze dzieci. Możliwe, że ich obecność uleczy Cu.

– Leczenie bez dotyku Uzdrowicielki jest trudnym

procesem – szepnęła Elphame. – Jest mi po prostu przykro, kiedy myślę, że jest bez... – zaśmiała się niewesoło.

– Bez? – dopytywała się Brighid.

– Głupio to zabrzmiało, bo przecież Cuchulainn jest wojownikiem znanym ze swej siły i odwagi, ale przykro mi, że kiedy tak cierpi, nie ma przy nim rodziny.

– Zwłaszcza starszej siostry?

Elphame uśmiechnęła się lekko.

– Zwłaszcza starszej siostry. – Znowu westchnęła.

– Dość długo go nie ma. Naprawdę myślę, że powinien już wrócić.

– O ile wiem, według relacji z Zamku Strażników szaleją tam wiosenne zamiecie śnieżne. Góry i przesmyki do Wastelands zasypane. Cuchulainn czeka na odwilż i dopiero wtedy powoli ruszy w drogę, uważając przy tym, żeby nie przeforsować dzieciaków. Lepiej uzbroić się w cierpliwość – powiedziała Brighid.

– Cierpliwość nigdy nie była twoją mocną stroną, kochanie.

Usłyszały za plecami głęboki głos. Łowczyni i Przywódczyni Klanu odwróciły się i zobaczyły cicho podchodzące do nich skrzydlatego mężczyznę. Brighid nie wiedziała, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do faktu, że takie stwory w ogóle istnieją. Po części Fomorianin, po części człowiek, Lochlan był dziwacznym wybrykiem natury, wychowywanym w najgłębszej tajemnicy przez matkę, normalną kobietę, w surowych warunkach, na północ od Gór Trier. Wysoki, szczupły, muskularny. Miał szlachetne, przyjemnie ludzkie rysy, jednak jasna poświata wokół jego skóry zdradzała mroczne pochodzenie. No i te skrzydła. Miał je akurat zwinięte, złożone na plecach, ale groźna jak szare chmury burzowe barwa ich błon przyciągała wzrok. Brighid już raz je widziała, jak były rozpostarte w pełnym grozy majestacie. Takiego widoku łatwo się nie zapomina.

– Dzień dobry, Łowczyni – przywitał się ciepło, dołączając do nich. – Mówiła mi Wynne, że wróciłaś dziś rano z polowania ze wspaniałą zdobyczą, zatem na wieczór możemy się spodziewać steków z sarniny.

Brighid odpowiedziała na pochwałę skinieniem głowy i odsunęła się na bok, by Lochlan mógł przywitać się z żoną.

– Brakowało mi ciebie tego ranka – powiedział czule do żony, całując ją w rękę.

– Wybacz. Nie mogłam zasnąć. Nie chciałam cię budzić, więc... – wzruszyła ramionami.

– Więc się niecierpliwisz. Twój brat jeszcze nie wrócił i się denerwujesz – powiedział.

– Wiem, że jest wojownikiem. Wiem, że czuję sercem siostry, zamiast posługiwać się umysłem Przywódczyni. Jednak martwię się o niego.

– Też jestem wojownikiem, ale gdybym ciebie stracił, straciłbym swoją duszę. Bycie wojownikiem nie chroni mężczyzny przed bólem. I też niedawno myślałem o Cuchulainnie... – Lochlan przerwał, dobierając słowa. – Być może jedno z nas powinno go poszukać.

– Już wybierałam się go szukać, ale nic z tego. Nie mogę się stąd ruszyć – powiedziała Elphame wyraźnie zdenerwowana. – Klan jest jeszcze za młody, za mało doświadczony, a poza tym przy odbudowie zamku ciągle jest dużo roboty.

– Czyli pójdę ja – powiedziała Brighid rzeczowo.

– Pójdiesz? – spytała Elphame.

Łowczyni skinęła głową i wzruszyła ramionami.

– W tych lasach jest taka obfitość zwierzyny, że przez kilka dni nawet zwykli ludzie i wojownicy bez problemu poradzą sobie z polowaniem i wyżywieniem zamku. Przy najmniej chwilowo – dodała z uśmiechem. – Poza tym, tylko Łowczyni potrafi odnaleźć ścieżkę, którą wybrał

Cuchulainn, żeby się przedostać przez góry. – Spojrzała znacząco na Lochlana. – A może nie?

– Szlak nie jest zbyt wyraźny. Przypuszczam, że Cuchulainn pewnie poprawił i uzupełnił poprzednie oznakowania, ale i tak znalezienie go może być trudne. – Przyznał jej rację.

– Poza tym, pustkowie Wastelands jest ubogie w zwierzynę. Mogę sobie wyobrazić, jak bardzo dokucza im głód, a przecież szykują się do drogi. – Brighid uśmiechnęła się do Przywódczyni Klanu. – Kiedy trzeba wykarmić młode gęby, Łowczyni jest zawsze mile widziana.

– Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie – rzuciła Elphame, wyraźnie poruszona. – Dziękuję ci. Kamień spadł mi z serca.

– Dla Cuchulainna będę pewnie marnym zastępstwem jego siostry – powiedziała Brighid szorstko, by zamaskować własne uczucia.

Odkąd się tu pojawiła, troszczyła się o Elphame tak, jakby ta była członkiem jej własnej rodziny. Nie, poprawiła się w duchu Łowczyni, to ja uciekłam od własnej rodziny, dołączając do Klanu MacCallanów. O wiele łatwiej troszczyć się o Elphame niż o...

– Marnym zastępstwem? O to się nie obawiaj. – Elphame roześmiała się.

– Narysuję ci mapę. Łatwiej znajdziesz drogę – powiedział Lochlan i dotknął ramienia Łowczyni. – Dzięki, że idziesz po niego, Brighid.

Spojrzała w oczy skrzydlatego mężczyzny i stłumiła niesmak, jaki wzbudził w niej jego dotyk. Większość Klanu w końcu zaakceptowała Lochlana jako męża Elphame. Choć był w połowie Fomorianem, już dowiódł swojej wierności wobec Przywódczyni i Klanu. Brighid mimo to nie mogła opanować dojmującego poczucia zakłopotania, jakie zwykle czuła w jego obecności.

– Wyruszam skoro świt – zdecydowała Łowczyni.

Brighid nie znosiła śniegu. Nie z powodu jakiejś fizycznej przykrości. Jak u wszystkich centaurów, naturalne ciepło jej ciała skutecznie chroniło ją przed wszelkimi zmianami pogody, poza najbardziej drastycznymi. Nie znosiła śniegu dla zasady. Śnieg pokrywał ziemię całym drętwej wilgoci. Leśne stworzenia albo się skryły w głębokich norach, albo pierzchyły do cieplejszych okolic. W ogóle się tym zwierzętom nie dziwiła. Pięć dni zabrało jej przedzieranie się od Zamku MacCallana na północ, przez gęstniejące lasy, do wejścia do ukrytego przesmyku, który Lochlan zaznaczył na swojej szczegółowej mapie. Pięć dni. Prychnęła zde gustowana sobą. Bezradnie, zupełnie jak człowiek na zwykłym koniu, kręciła się w kółko, a spodziewała się, że pokona tę drogę dwa razy szybciej.

– Sama Bogini przeklęła ten śnieg – mruknęła, a jej głos dziwnie się odbił od ścian groźnych gór. – To musi być tu. – Przyglądała się osobiście ukształtowanym skałom, szukając jakiegoś śladu zostawionego przez niewielką grupę Cuchulainna, znaku, że przeszli właśnie tędy. Mogliby jakoś oznaczyć to wejście, pomyślała Brighid, choć tylko tutaj skały uformowane były w ten sposób, że przypominały otwartą paszczę szczerbatego olbrzyma z wywalonym jęzorem. Gdy zbliżała się do tunelu, ziemia pod jej kopytami dudniła mokro i głucho.

Naraz powietrze wokół zgęstniało od łopotu ciężkich skrzydeł. Czarny kształt śmignął lotem nurkowym tuż obok jej głowy, kierując się do oświetlonej, podobnej do jęzora skały.

Brighid gwałtownie stanęła i zacisnęła zęby. To był Kruk. Pochylił na bok głowę i zakrakał na nią. Łowczyni zmarszczyła brwi.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Czytelnia Online](#).